№ 11.

WARSZAWA

d. 5 (17) marca

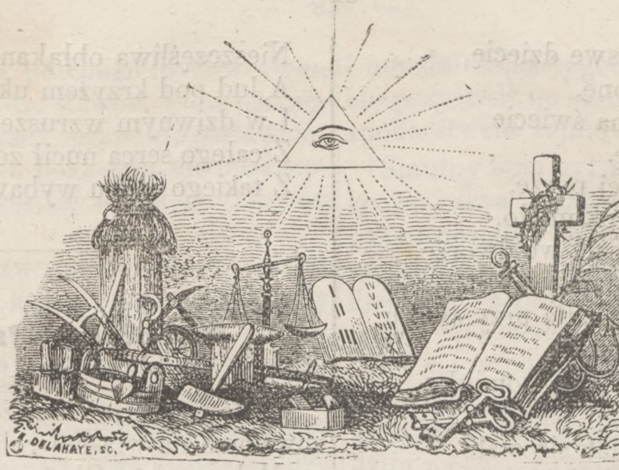
1861.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej

Nr 1527.



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Na tym świecie powinniśmy być jak podróżni i pielgrzymi; jak oni nie przywięzują serca do gościny, w której przebywają, do przedmiotów, które napotykają, iżby o celu podróży swojej nie zapominali, tak i my powinniśmy mierzyć nasze uczucia celem naszych nadziei. (Śty Franciszek Xawery.)

Obłąkana.

—

W pewnej wioseczce, tuż nade drogą,
Mglistym jesiennym porankiem
Jakąś niewiastę młodą, ubogą
Lud tłumnym otoczył wiankiem.
A że ciekawość zwykła to wada,
Zkąd przyszła, badać ją zaczną;
Lecz ona tylko im odpowiada
Śmiechem i piosnką dziwaczną.
Do piersi jakąś gałąź przyciska,
Postać jej kryją łachmany,
W oku jej dziwny ogień połyska,
Co zdradza smutek nieznany.
Kiedy nieszczęsną tak mierzą wzrokiem,
Ciekawość zbiegiem chwil wzrasta,
W to samo miejsce pośpiesznym krokiem
Nadchodzi stara niewiasta,
I w środek tłumu wszedłszy powoli,
Przemawia do ludu zbliska:
— Nie urągajcież bratniej niedoli
Moi poczciwi ludziska;
Ta, co ją macie tu przed oczyma,
Dotknięta chorobą zdradną,
Jeszcze trzech latek podobno nie ma,
Była szczęśliwą i ładną.
Zanim jej zmysły prawica Boska
Zmieszała wiecznie niestety,
Wierzcie mi bracia, że nasza wioska
Lepszej nie miała kobiety;
Ojców straciła w dziesiątym roku,
Lecz stryj, co kochał ją tkliwie,
Chował dzieweczkę przy swoim boku,
I wydał za mąż szczęśliwie.
O! tak, szczęśliwie choć niebogato,
Boć pieniądz nie cel zamęścia,
A żyli zgodnie i każde lato
Niosło im nowy plon szczęścia.
Już w drugim roku poczciwa Hanka
Szczęsna jak mało na świecie,
W ubogiej chatce swojego Janka
Pieściła pierwsze swe dziecię.
I dzięki Bogu niosąc jedynie,
Codzień śpiewała mu chwałę,
Bo w owej to drobnej, wątłej dziecinie
Widziała szczęście swe całe.

Janek też kochał lube swe dziecię,
Cenił poczciwą swą żonę,
I swojej biednej doli na świecie
Nie oddałby za koronę.
Ale raz właśnie o takiej porze,
Gdy dziecię przeszło rok miało,
Hanka prać chusty poszła we dworze,
Ono przy świekrze zostało.
Ta wziąwszy kądziel, siadła przy synku,
Kołysząc, jego tchu słucha,
Lecz nucąc do snu tuż przy kominku,
Sama zasnęła starucha.
Oj! spałaż twardo, bo tak się stało,
Że nim nadleciał tłum ludzi,
Płomień już chatę ogarnął całą,
Któż teraz ze snu ich zbudzi?
A Janek kończąc siewy na roli,
Dziwnym przejęty był strachem,
Jakby nieborak tej strasznej doli
Mógł pod swym spodziać się dachem.
I tak nie mówiąc o tem nikomu,
Miotany w dziwnych cierpieniach,
Pobiegł czemprędzej drogą do domu,
I ujrzał dom swój w płomieniach.
Tu go odbiegła przytomność wszelka,
Nie dbając, że dach już płonie,
Biegł po swe dziecię, a w tem go belka
Na wieki w płomieniach chłonie.
Hanka nieboga później nadbiegła,
Nie znając ognia przyczyny,
Lecz tylko trupa męża spostrzegła,
A później trupa dzieciny.
Wtedy ją dzika boleść owładła,
W cierpieniach dotąd nieznanych
Na zgliszczu chaty jak martwa padła,
Przy zwłokach swoich kochanych;
A gdy ją w strasznym cucono stanie,
Nie szczędząc tkliwej opieki,
Już jej zmysłami to obłąkanie
Zawładło i już na wieki.
Mniej przez to czuje straszne cierpienie,
Ułuda dręczy ją sroga,
Patrzcie! ot teraz szarpie odzienie,
Dziecię chcę karmić nieboga.
Nikomu ona nigdy nie szkodzi,
Rzadko przerywa swą ciszę,
Czasem gdzieś zdala ze wsi uchodzi,
Coś tuli, pieści, kołysze...
I tu staruszka wywiodła z tłumu,
Mową znać dobrze jej znaną,
Silna potęgą swego rozumu
Nieszczęśliwą obłąkaną;
A lud pod krzyżem ukląkł parami,
I w dziwnym wzruszenia stanie
Z całego serca nucił ze łzami:
Z takiego stanu wybaw ją Panie!

Kościół w Przytulisku.

Za dawnych już bardzo czasów, żył w Krakowskiem na własnej roli Piotr Przytuła z żoną Małgorzatą. Oboje starzy, poczciwi i bogobojni myśleli tylko, aby sobie jak najwięcej zaskarbić łaski u Boga, a miłości u ludzi.

Powiadali ludzie, że Przytuła dzieckiem znaleziony był przy drodze schorzały i ledwo żywy, i wzięty do dworu. Nie można było się dowiedzieć od niego o jego rodzinie i zkąd pochodził, zaledwo tylko imie swoje mógł nazwać; a że dziedzice byli bardzo dobrzy i poczciwi państwo, przeto Piotruś (takie było imię chłopca), znalazł przytułek u dworu i tam już nazawsze pozostał. Nie mającego nazwiska, ludzie od przytułku, nazwali Przytułą.

Piotruś był bardzo dobrym chłopcem, posłuszny i grzeczny dla wszystkich, żadnej roboty się nie lenił; to też wszyscy go za to kochali. Ksiądz proboszcz uczył go katechizmu, a panicze lubiąc się z nim bawić, często na swoich książkach uczyli go czytać. Państwo używali go do dworskiej posługi, bo był zwinny i zgrabny; wywdzięczał się im też Piotruś za ich starania rzetelnością i gorliwością. Gdy już Piotruś wyrosł na Piotra, polubił we dworze, tak jak on wychowaną sierotę, jak on dobrą i cnotliwą Małgorzatę i pojął ją za żonę.

W nagrodę poczciwości i przychylności dla siebie, państwo zrobili go podstarościm (*) w dobrach swoich. Na nowem tem miejscu w niczem się Piotr nie zmienił; nie podobny w niczem do wielu dzisiejszych włodarzy, co nadużywając zaufania swych panów, i w stodole i w śpichrzu, często dzielą się z nimi, aby tylko groszem, choć z krzywdą pańską zebranym, worek wyładować, wykręcając się tą fałszywą mową, że pan zawsze

(*) Dzisiejszy ekonom.

będzie panem, a człek powinien myśleć o tem, aby mieć z czego żyć na starość. Piotr oszczędnością i rzetelną pracą przy błogosławieństwie bożem, nie zebrał bogactwa, ale miał trochę grosiwa i dochował się nie złego dobytku gospodarskiego.

Bóg go obdarzył czworgiem dziatek, a dwór rolą bez czynszu, na którą się przeniósł, aby dla siebie i rodziny zacząć pracować.

Z początku wiodło się dobrze Przytule, powiększał się corok dobytek, śpichlerzyk nigdy nie był próżnym: w całem jego gospodarstwie znać było pracowitą rękę gospodarnego Piotra i błogosławieństwo nieba; bo Przytuła nigdy nie zapomniał, że bogatszy jest tylko szafarzem skarbnicy Ojca niebieskiego, i czynem to objawiał. Corocznie na przednowku wielu sąsiadów uboższych żywiło się ziarnem z jego śpichrza. Gdy był jeszcze na usłudze dworu, bogobojna i litościwa dziedziczka używała go często do pomocy przy odwiedzaniu i opatrywaniu chorych, przez co nauczył się sposobu leczenia różnych chorób, przyrządzania ziół i maści potrzebnych. Nigdy nie popróżnował nasz Przytuła: w wolnych od zajęcia gospodarskiego chwilach, zwiedzał chorych, wyszukiwał potrzebujących, którym to radą, to datkiem w pomoc zawsze przychodził. Częstokroć gdy dnia nie starczyło, to i nocy kawał się zarwało dla dobra bliźnich swoich.

Ale przyszły i na Przytułę dni smutku. Nastały naprzód lata nieurodzajne, gumna coraz się oprożniały, do śpichrza nie przybywało; tylko dawne zasoby broniły go od głodu. Po nieurodzaju nastał pomor na bydło i ludzi, i teraz dopiero nieszczęście jedno za drugiem sypać się zaczęło na dom Piotra. Naprzód wypadło mu bydełko, wyzdychały owce i konie; a na dobitkę wszystkiego, synowie jego, z których już dobrze dwóch pomagali mu, wyręczając w gospodarstwie, jeden za drugim przenieśli się do wieczności. Ani raz wśród tych dolegliwości Przytuła nie zaszemrał; żonę zaś swoję, która, jak to każda kobieta słabsza w nieszczęściu, zawsze pocieszał.

Ale trudno człowiekowi cierpiącemu być na wszystko obojętnym. Uczuł i nasz Piotr głęboko zmartwienia, które mu dolegały i mocno zachorował. Żona jego, która co dopiero z choroby powstała, opatrywała go jak mogła i umiała: kilka tygodni odleżał biedny Piotr, ale przyszedł do zdrowia i mógł się znowu gospodarstwem zajmować.

Smutny stan był jego gospodarki: jałówka, krowa i dwa wołki, oto wszystko, co mu z dobytku ocalało. W polu nic nie zrobione, bo najlepszy czas do roboty Piotr przechorował. Jednakże rąk nie opuścił, i jak mógł jął się do pracy. Wróciwszy z kościoła do domu, rozpatrzył się w gospodarstwie i rozmyślił, od czego najpilniej zacząć i jak dalej ma robić. Długo też jeszcze i bardzo długo bieda nie wychodziła z chaty Przytuły. Z roku na rok ledwo potrafił się z żoną wyżywić. Nie przeszkadzało mu to jednak podawnemu zajmować się biedniejszemi i nieść pomoc każdemu, kto jej od niego potrzebował lub żądał. Małgorzata przy całej swojej dobroci i poczciwości, miała jednę wadę ciągłego gdérania, często strofowała męża, że zawsze tam dla kogoś z domu wszystko wywłóczy, a sam nie ma nic i biedę znosić musi; na co jej Piotr odpowiadał:

— Ot nie gadałabyś, ale pamiętała o tem, że kto bliźniemu daje, to od Boga stokroć odbiera.

— Toć kiedyś miał dawniej, toś zawsze dawał i nic nie mówiłam, bo tak trzeba, żeby bogatszy o biednym pamiętał; ale teraz i u nas bieda, że się ledwo żyje, to i Pan Bóg nie żąda tego.

— Więcej się miało, więcej się dało, a kiedyć już teraz dać nie mogę, to zawsze wesprzeć choć radą i pożywić biednego, obowiązek to chrześciański.

— Nie mówię, jak się tu kto trafi w domu i biedny jaki przyjdzie, toć go i trzeba zapomódz; ale łazić i szukać ich po świecie gwałtem, tego to już nie rozumiem.

— Wszystkoć to moja Małgorzato Pan Bóg wynagrodzi.

— Juścić ty tam zawdy znajdziesz gotową gadkę na wszystko, a nam co bieda, to bieda.

— Ej nie mrucz lepiej popróżnie, i daj jeść, jeżeli masz gotowe, bo po południu trzeba drzewa z boru przynieść; do boru daleko, a dzień krótki.

Małgorzata ustępując jak zwykle mężowi, którego szanowała, przestała gdérać i sporządziwszy obiad, na stole postawiła. Posiliwszy się Piotr, zaraz zabrał się i poszedł do boru,

a Małgorzata wzięła się do zwykłej po obiedniej roboty, do kądzieli, przy której śpiewała pieśni.

—

Dzień był od rana samego pochmurny, jaki miewamy zwykle w późnej jesieni. Nad wieczorem jednak wiatr powstał i deszcz coraz gęściejszy padać zaczynał. Chociaż już był dobry wieczór, a Piotra widać nie było, jednak Małgorzata nie bardzo się tem frasowała, bo się to często mężowi jej trafiało i wreszcie sądziła, że go znowu kto poprosił do chorego lub na poradę. Zajęła się więc przyrządzeniem mu wieczerzy składającej się z resztek pozostałych z obiadu. Wrócił wreszcie i Piotr z boru, ale nie sam, za nim bowiem szedł jakiś podróżny, z fuzyą, łachmanami okryty, zziębły i przemokły. Piotr wchodząc, odezwał się zaraz na wstępie do Małgorzaty:

— Niech ci Bóg da zdrowie moja Małgosiu, żeś nam jeść przyrządziła, bośmy też oba z moim towarzyszem bardzo głodni.

Na te słowa podniosła Małgorzata oczy i spojrzała na przybysza wzrokiem nawskróś przejmującym, a na obliczu jej niechęć i niezadowolenie wyraźnie się malowały; potem tenże sam wzrok zwróciła i na męża, który spuściwszy oczy, rzekł z nieśmiałością:

— Przecież gdzie dwoje je, tam się i trzeci pożywi. A i tybyś nie dopuściła, żebym chrześcianinowi, co dwa dni nic w gębie nie miał, z głodu umierać pozwolił.

— Święta Matuchno! jakiemu chrześcianinowi? a toć przecie do rabusia podobniejszy, niż do chrześcijanina! zawołała Małgorzata w uniesieniu, i mrucząc wyszła z izby.

Podczas tej rozmowy przychodzień stał ciągle przy drzwiach na jednem miejscu spokojnie. Był to mężczyzna wysoki, jakem powiedział, łachmanami odziany, którego czarne w nieładzie porozrzucane włosy, wzrok bystry do błyskawicy podobny i duża rusznica w ręku, więcej bojaźni niż zaufania wzbudzały.

— Czy mam odejść? zapytał.

— Nie, odrzekł gospodarz: nigdy ten, któremu w mojej chacie przytułek daję, nie bywa z niej wyganianym. Postawcie sobie waszę fuzyę tu w kącie i chodźcie jeść, póki ciepłe.

— Ja się nigdy z moją bronią nie rozłączam, rzekł podróżny, bo chociażeście sami mój poczciwy gospodarzu gościnni i grzecznie się ze mną obchodzicie, ale to nie o każdym tako trzymać można. Zresztą ona mi nie zawadzi, jeśli pozwolicie, to za wasze zdrowie będę jadł, bom bardzo głodny.

Przy tych słowach zasiadł dostołu i z prawdziwą żarłocznością zaczął spożywać zastawione potrawy. Chociaż i Piotrowi nie zbywało na dobrym apetycie, jednak z podziwieniem patrzał na podróżnego, który wkrótce nie tylko sprzątnął wszystko, co na miskach było, ale nawet z bochenka chleba dosyć sporego bardzo mało co zostawił. Podczas jedzenia jednak rzucał wzrokiem niespokojnym na wszystkie strony i za każdym najmniejszem poruszeniem, choćby wiatr tylko mocniej drzwiami wstrząsnął, zrywał się zaraz i porywał za fuzyę, jakby drogo chciał oddać życie swoje; ale wkrótce umitygowany siadał spokojny i jadł dalej.

— Otóż, odezwał się z pełną prawie jeszcze gębą do gospodarza, dokończcie mój dobry gospodarzu waszej gościnności drugim dobrym czynem. Skaleczony mocno jestem w ramię i ośm dni już mam ranę nieprzewijaną; dajcie mi trochę płóciennych gałganów na przewinięcie, a potem uwolnię was od mojej obecności.

— Nie o to mi idzie, mój miły panie, odrzekł gospodarz, żebyście uciekli odemnie, lepiej pokażcie mi swoję ranę, ja się trochę znam na tem, to wam sam zaradzę co na nią. Tu zaraz dobył ze skrzynki płóciennych łat i maści i jakby znawca wielki wziął się do obejrzenia rany, która rzeczywiście była głęboką, od kuli widać zadaną. Opatrzył ją Piotr starannie, przyłożył świeżej maści, a potem rzekł do podróżnego:

— Ja was dziś nie puszczę mój panie, patrzcie jeno, jakie tam powietrze, to i psa źle wygnać, a nuż człowieka, a przytem i rana wasza, choćby po jednej nocy spokojnej prędzej wydobrzeje.

— Nawet natychmiast muszę odejść, odrzekł z szybkością nieznajomy. Tam czekają na mnie, wymówił z bolesnym uczuciem i szukają mnie. Czyście już skończyli, poczciwy gospodarzu?.. przewybornie, teraz nie czuję rany, jakbym jej wcale nie miał. Dajcie mi jeszcze bochenek chleba i przyjmijcie tę sztukę złota za waszę uprzejmość.

Piotr odsunął złoto i rzekł do nieznajomego:

— A czyż to ja arendarz, żebym za pieniądze w dom przyjmował? weźcie sobie nazad pieniądze, bo ja nie przedaję mojej gościnności.

— Jak chcecie!.. to przyjmijcie moje szczere dzięki za waszę grzeczność, przebaczcie mi i bądźcie zdrowi.

Przy tych słowach wziął chléb, który na żądanie męża podała Małgorzata, wyszedł i znikł w gęstych żaroślach, otaczających zagrodę Przytuły.

W godzinę może później słychać było daleko w polu, jakby od boru, gęste wystrzały i nieznajomy w kilka chwil powrócił zakrwawiony z raną w piersiach.

— Tu... wyjąknął, podając kilka sztuk złotych Przytule, tam... moje dzieci... w wąwozie... blizko rzeczki...

Ale więcej mówić nie mógł z osłabienia przez upływ krwi spowodowanego i padł na ziemię zemdlony. Za nim tuż przybiegli pachołcy starościńscy z dobytemi szablami, napadli na nieznajomego i skrępowawszy go mocno, dozwolili dopiero Przytule opatrzyć świeżą ranę na piersiach. I nie zważając na przedstawienia Piotra, jak niebezpiecznem jest wieść tak rannego, wrzucili go na wóz, mówiąc:

— Ba, ba! niech tam umiera na wozie, albo na szubienicy, to mu wszystko jedno; przecie to... bannita... (**)

Więzień podziękował kiwnięciem głowy poczciwemu Piotrowi i prosił jeszcze o podanie mu kubka wody, a gdy mu go Piotr nachyliwszy się do ust, podawał, wybąknął jeszcze dogorywającym głosem:

— Czyście mnie zrozumieli?

Piotr kiwnął mu głową na znak potwierdzenia i wóz ruszył z miejsca. Ledwo zniknęli z oczu Piotrowi, ten nie zważając na perswazye Małgorzaty, przedstawiającej mu skutki wyniknąć mogące z jego narażania się, ani na noc chmurną, poszedł zaraz prosto ku borowi szukać wskazanego sobie miejsca. Jakoż znalazł rzeczywiście wąwoz, w którym niedaleko od rzeki spostrzegł trupa zabitej kobiety, a przy niej niemowlę i pięknego czteroletniego chłopczynę, który zaraz do niego się garnął, wołając o przebudzenie mamy, bo myślał, że ona śpi tylko.

(**) Wygnaniec, bannicya znaczy wygnanie z kraju.

Któż opisze zadziwienie Małgorzaty, skoro spostrzegła męża wracającego z dwojgiem dzieci,

— O mój miły Jezusiczku! zawołała, a cóż ty myślisz robić z temi dzieciakami Piotrze? A przecież my ledwie wleczemy życie nasze! czy to ja będę musiała od drzwi do drzwi żebrać dla nich? i jeszcze dla czyich dzieci?

Tu zaczęło się kwilić niemowlę.

— I cóż my poczniemy z tem malutkiem?... mówiła dalej, przecież my nie jesteśmy w stanie dać je na mamki. Trzeba je tak bez mamki jako wyżywić! Ty mój Piotrze, oczywiście nie wiesz, co to jest. Ostatek sił moich muszę dla niego poświęcić! Ach! Matko Boska! przecie ono nie ma więcej jak pół roku!.. na szczęście mam jeszcze zdziebko mleka wieczornego, trzeba prędko zgrzać tej małej dziecinie.

Poczciwa Małgorzata odebrała dziecię z rąk Piotra, uspakajała je jak mogła, całowała i pieściła się z niem, i napoiwszy je ciepłem mlekiem, włożyła we własną pościel, aby się biedactwo rozgrzało. A tymczasem wzięła się z równąż troskliwością do drugiego. Nim je nakarmiła, rozebrała i umyśliła dla niego posłanie naprędce zrobione, Piotr tymczasem opowiedział Małgorzacie, gdzie i w jakim stanie znalazł te dzieciaki, oraz w jaki sposób one mu przez nieznajomego przekazane zostały.

— Wszystkoć to, co prawda do litości pobudzić nas powinno, rzekła Małgorzata, ocierając łzy z oczu, gdy mąż skończył opowiadanie, ale mi idzie o to, jak my je i nas wyżywić potrafimy?

Następnego dnia, poszedł Przytuła po ciało kobiety, zostawione w owym wąwozie, zrobił trumnę i po chrześciańsku pochował.

—

Dwanaście lat upłynęło od owego czasu. Było to w piękny i pogodny dzień wiosenny: jasne i ciepłe słońce, które pierwszy raz po smutnych dniach zimowych zaświeciło na niebie, wywiodło z chaty całą rodzinę.

Siwowłosy Piotr, już wówczas 70 letni staruszek, usiadł na ławce przed chatą, a przy nim młodszy 12to letni chłopczyk czytał mu książkę, gdy tymczasem starszy już 16to letni podrostek, obkopywał krze i czyścił drzewka w ogrodku do zagrody należącym. Małgorza-

, która przez ten czas ociemniała, z pobożną uwagą przysłuchiwała się czytaniu młodszego chłopczyny.

W tej chwili dał się słyszeć turkot kolasy. Młodszy chłopczyk przerywając czytanie, spojrzał w te stronę i wykrzyknął z podziwienia:

— Ach! jaki śliczny wózek jedzie, jaki prześliczny wózek!

I w rzeczy samej, gdy tego domawiał, zbliżała się traktem od Krakowa kolasa, w cztery dzielne konie zaprzężona i stanęła przed chatką. W bogatej liberyi służący zsiadł i zbliżywszy się do gromadki, prosił o kubek wody dla swojego pana.

— Karolku, rzekł Piotr do młodszego chłopca, idź i przynieś wody dla tego pana, a możeby i mlekiem nie pogardził? Tymczasem siedzący w kolasie pan, kazał drzwiczki otworzyć i wysiadłszy, zbliżył się do Piotra grzecznie go pozdrawiając:

— Witajcie staruszku!

— Bóg zapłać za przywitanie, odrzekł Piotr powstając:

— Usiądźcie miły gospodarzu, rzekł przybyły; jakże idzie gospodarka?

— Jakotako W. panie, odpowiedział Piotr siadając, ale niech i W. pan raczy usiąść.

— Bóg zapłać, trochę sobie postoję i popatrzę, bo mi się tu podoba, odrzekł nieznajomy. Zapewne to wasi synowie, ci dwaj chłopcy? zapytał po chwili.

— Po prawdzie nie są to moi właśni synowie, bo moich Bóg zabrał, aleć tak jakby synowie, bom ich wychował i przyjął za swoich.

— Jakimże to sposobem? zapytał znowu nieznajomy.

— Ja to W. panu wszystko opowiem, boć przed taką osobą znakomitą, nie mogę nic zataić, a i przy mojej biedzie i starości, to i nie zawadzi poradzić się mądrej głowy, boć ja się tam wcale nieznam na wykrętach światowych, a tu już czas coś o dzieciach pomyśleć.

I Piotr drżącym od wzruszenia głosem, wśród łez często przerywających mu jego mowę, opowiedział podróżnemu zdarzenie owego pamiętnego wieczoru przed dwunastu laty, jak mu się te dzieci dostały, jak ich w bojaźni Bożej wychował i wyuczył czytać i pisać, ile sam umiał.

— Cóż mi W. pan radzi teraz z nimi zrobić? zapytał Piotr, kończąc opowiadanie.

— A jakeście umyślili mój poczciwy gospodarzu z nimi postąpić?

— Jużcić ja chciałem jednego dać na księdza, i już z naszym plebanem gadałem o tem, który mi obiecał dopomódz, a drugi niechby się ojczyznie na wojaczce wysługiwał.

— I tak będzie! odpowiedział podróżny, jeden z nich będzie księdzem, a drugi pójdzie do chorągwi husarskiej, wam zaś mój poczciwy ojcze, abyście nie potrzebowali już na starość pracować i mogli trzymać czeladź, płacić będę sto czerwonych złotych na rok.

— Bez obrazy pańskiej, ja się nie spodziewałem żartu na moją prośbę szczerą o radę, rzekł Piotr.

— A potem, mówił dalej podróżny, nie uważając na słowa Przytuły, wystawi się tu kościół murowany z kapelanią, abyście mogli na stare lata wasze codzień Boga chwalić. Tę zaś zagrodę waszą ogrodzi się płotem nowym, nową chatę wystawi, i nowy dobytek zaprowadzi. Potem położymy napis przy kościele: „Kościół i chudoba za kubek wody.“ Czy dobrze tak będzie?

— Co to jest? zawołał zdziwiony Przytuła, co W. pan mówi? Ach! mnie się wszystko zdaje, że ja już kiedyś widziałem W. pana, ale gdzie i kiedy, tego przybaczyć sobie nie mogę.

— To ja wam przypomnę dobry starcze, odrzekł pan, i objaśnię wam wszystko. Ja jestem ów strzelec, coś go przytulił przed 12stu laty; byłem wskazany na bannicyą i dlatego ukrywać się musiałem z żoną i dwoma synkami, nie chcąc opuszczać ojczyzny. Wy, mój czcigodny ojcze, daliście mi w ostatni wieczór nim mię pojmano, przytułek i pożywienie, wyście pochowali moję najdroższą żonę i wychowali moich synów! Czasy się zmieniły, miłościwy król Jan Kazimierz (***) przebaczył mi wszystko i wrócił majątek. To więc co czynię, to Bogu na chwałę czynię, że mi pozwolił was żywych oglądać i podziękować za wasze opiekę nad mojemi dziećmi, że ich mogę z waszej łaski uściskać. Pójdźcie wy jedyne moje dzieci, niech was ojcowskie serce przytuli do siebie.

Tu zaczął ściskać i całować wśród płaczu i łkania synów uszczęśliwionych, a i poczci-

---

(***) **Panował w Polsce od r. 1648 do 1668.**

wym Przytułom łzy jak groch po licach spadały. Długo trwały uściśnienia i pocałunki ojcowskie. Nareszcie odwracając się pan do Piotra i ściskając poczciwą jego rękę, rzekł:

— No, spodziewam się, że mi pozwolicie na waszej roli kościół postawić i waszę zagrodę odnowić?

Za cała odpowiedź, Piotr do żywego wzruszony, odwrócił się do Małgorzaty, która na tak niespodziane szczęście, od rozczulenia powstrzymać się nie mogła, ale której serce zarazem pękało na wspomnienie rozłąki z jej kochanymi wychowańcami.

W rok potem, w obecności swego pana i dwóch jego synów, oraz obojga Przytułów, odbyło się poświęcenie pięknego murowanego kościoła z plebanią i z szkółką dla sierot wiejskich dzieci. Miejsce zaś to od nazwiska Piotra, *Przytuliskiem* nazwano.

Bartosz Paprocki.

Sławny ten pisarz polski urodził się na Mazowszu w r. 1540, kiedy żył jeszcze ostatni król z rodziny Jagiellońskiej. Sędziwy ojciec pragnąc dać naukę młodemu Bartoszowi, do czego od dziecinnych lat pokazywał wiele chęci i zdolności, wysłał go do Krakowa, gdzie i wyższe szkoły skończył. Poczem bawił lat kilka na dworze zamożnych krewnych swoich, gdy śmierć rodziców powołała go do ojczystego gniazda.

Otrzymawszy po ojcu w spuściznie dwie małe wioseczki, na których ciężko trzeba było pracować na skromny kawałek chleba, począł myśleć o powiększeniu majątku. Zaczął więc szukać bogatej żony. Krewni i przyjaciele naraili mu zamożną wdowę Jadwigę Kosobudzką. Pan Bartosz po niedługich zalotach, otrzymał wkrótce jej rękę.

Ale dobrze staropolskie mówi przysłowie, że „u wdowy, chleb gotowy, ale nie każdemu zdrowy.“

Sprawdził je na sobie bardzo smutnie Paprocki. Swarliwa, starsza o wiele lat od męża, zaczęła nad nim przewodzić, wyrzucając mu, że ona go swoim zbogaciła majątkiem. Tak mu się dobrze dała we znaki, że młody Bartosz niedługo uciekł od niej i jej dostatków potajemnie z domu i przybył do Warszawy, gdzie przyjął obowiązek dworzanina przy Andrzeju Tarnowskim sekretarzu królewskim. Z nim gdy posłował do Turcyi, wyjechał, poznał te kraje i stolicę Konstantynopol, również jak Wołoszczyznę. Za powrotem do kraju zamierzał do Włoch podróż, gdy wiadomość o śmierci żony zatrzymała go w Polsce. Wrócił do stron rodzinnego gniazda i tu oddał się roli i pisaniu.

Od r. 1575 zaczął prace swoje ogłaszać drukiem. Pierwsze dzieło, które wydał, było *Gniazdo cnoty* z licznemi drzeworytami, w którem znamienitsze rodziny, a zasłużone krajowi wierszem opisał. Zobaczywszy wszakże, że praca ta nie odpowiada dobrze jego myśli, zaczął pisać sławny swój *Herbarz rycerstwa* Polskiego w r. 1584 wydany.

Dzieło to, nader wysokiej wartości dlatego, że sam po kraju jeździł, zbierał po dworach wiejskich wiadomości o rodach szlachty, odczytywał stare papiery, w których królowie polscy dawali świadectwa zasłudze, zbierał po miastach i miasteczkach wiejskich napisy pogrobowe, słuchał dawnych podań sędziwych starców, i z tego wszystkiego napisał księgę wielką, której dał napis: *Herbarz rycerstwa polskiego.*

Wychodząc Paprocki z tej zasady, że nie każdy to szlachcic, kto się herbem szczyci, albo urodził się szlachcicem, ale że głównie trzeba szlachetnie żyć i służyć krajowi; w tym harbarzu nie pomija i takich, co wcale nie byli szlachtą, ale potrafili się odznaczyć. Dla niego mieszczanin, czy kmiotek, obok szlachcica i pana dobrze się mieści, jeżeli dobrze się zasłużył.

Dał tytuł *herby rycerstwa* dlatego, że każdy wówczas szlachcic musiał być rycerzem, i jak tylko nieprzyjaciel zagroził granicznym kopcom, na dane hasło rzucał każdy dom, żonę i dziatwę, zdejmował ze ściany hełm i pancerz, przypasywał szablę, dosiadał gotowego zawsze w stajni dzielnego konia i stawał w oznaczonym miejscu pod swoją chorągwią.

Wielki rozgłos zyskał Paprocki tym herbarzem, ale gdy popierał przeciw Janowi Zamojskiemu Maxymiljana arcyksięcia austrjackiego na tron Polski, wraz z licznem panów polskich stronnictwem, po klęsce pod Byczyną schro

nił się do Morawy, gdzie doznał gościnnego przyjęcia, a następnie osiadł w Czechach i tu poznawszy dobrze tamtejszy język, wiele dzieł ważnych po czesku napisał.

Po śmierci Jana Zamojskiego, około r. 1610 wrócił z długiego tułactwa do kraju; ale przybył jak na cmentarz. Znajomi i przyjaciele wymarli, panów familje jedne wygasły, drugie zubożały; wioseczki rodzinne długami obciążone przeszły w obce ręce. W starych latach szukał przytułku u prałatów w Wąchocku i Lędzie. Niedługo żył na cudzym chlebie; przybywszy do Lwowa, umarł dnia 27 grudnia 1614, za czasów króla Zygmnnta III, pochowany w tymże mieście u XX. Franciszkanów na krużgankach.

Ogłosił 22 dzieł polskich, a 17 po czesku, już to wierszem, już prozą. Najważniejsze są treści historycznej.

Pamiętny doznanych zgryzot w pożyciu małżeńskiem i swarliwości swej żony napisał wierszem: *Dziesięcioro przykazanie mężowe, które każda poczciwa, a cnotliwa małżonka ma umieć* 1575 r. Tu kładzie na pierwszym miejscu dla każdej żony jako główne warunki szczęścia w pożyciu domowem: łagodność, małomówność i pokorę, których daremnie w swojej żonie szukał.

Paprocki oprócz zasług historyka, ma i tę jeszcze, że wiele się pracami swojemi przyłożył do zbogacenia ojczystego języka; pisał bowiem zaledwie w pół wieku, czyli lat 50, kiedy się pierwsza książka polska pojawiła w druku.

Różności.

—

Piszą z Nowego Sącza (w Galicyi), o założeniu tam bezpłatnej czytelni Gazet krajowycb, która otwartą została dla ludzi uboższych, pragnacych się oświecać i wiedzieć, co się też to dzieje w kraju i na świecie. Czytelnikami są: mniej dostatni mieszczanie, różnej klasy rzemieślnicy, czeladź, wyrobnicy, a nawet i kmiecie okoliczni.

— We Wrocławiu w ogromnych zakładach stolarskich Rehorsta, używają z powodzeniem sposobu suszenia drzewa za pomocą pary. Wszelkiego rodzaju drzewo, na najdelikatniejsze nawet wyroby, fabryka ta suszy u siebie w umyślnie na to urządzonej suszarni. Najprzód trzymają je przez czas jakiś w parze mocno zgęszczonej, a następnie windują do rzeczywistego wysuszania w przestrzeni ogrzanej nader silnie, parą rurami rozprowadzoną. W suszeniu tym spusobem zyskuje się bardzo wiele tak na czasie jak i dokładności wysuszenia. Przyrząd podobny wprowadzonym był w użycie przy tutejszym młynie parowym przez p. Mozer, jeszcze przed lat 30.

— Rzeźbiarz Stehlik z Krakowa, bawiący obecnie w Kamieńcu Podolskim, odkrył w okolicach tego miasta marmur bardzo pięknej barwy, dający się dobrze polerować, z którego wyrabia urny i tym podobne przedmioty. Marmur ten ma być wybornego gatunku.

— Gazeta Warszawska z dnia 8 lutego r. b. nro 36, donosi o pocieszającym objawie budzącego się życia pomiędzy włościanami. Nie już sami obywatele, właściciele większych włości nabywają machiny (rolnicze), ale i chłopi już się poznali na tem co dobre. Widzieliśmy w tych dniach *siewnik* na wozku chłopskim, i zapytaliśmy się, dla kogoby właściciel furmanki tej wiózł owe machiny? A jużcić nie dla kogo innego, tylko dla siebie, odrzekł zapytany; złożyło się nas kilku na siewnik, bo widzieliśmy, że i siew jest równiejszy i dużo zboża się oszczędza. Daj Boże jak najwięcej podobnych objawów!

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15 Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 5 (17) marca 1861 r. Starszy cenzor, F. *Sobieszczański*.